

JÓZEF LASOŃ.

A KIEDY WYBIŁA GODZINA!...

(Ze wspomnień Legionisty).

— Tak! tak, Józku! Doczekaliśmy się! Ciesz się bracie, gorzały się napij. żonę ucałuj, dziecko uściśnij, a jutro... jutro... Kolymna! Marsz!... A jak chwyć Moskala! Ze skóry go obedrę! Na Sybir ich wygnamy!

Przypasał szablę, wyciągnął z pochwy, machać począł nią, jak patykem.

— Bój się Boga, Tadek, biurko rozbijesz, łeb mi rozetniesz. Będiesz miał dosyć czasu, jak będziemy w polu!

— Baczość! Co za Tadek? Plutonowym jestem, zastępcą komendanta, oficerem do cholery, a ty co? — spytał niby ostro, wstrzymując uśmiech na ustach.

— A tak, to co innego — odparłem wesoło — ja jestem tylko szeregowcem.

— Więc baczość! — krzyknął ostro.

Stałem wyciągnięty przed nim jak struna.

Odpasał szablę, rzucił na biurko, a potem... buch mi na szyję.

— O Józek! Józek!

Rozśmialiśmy się obaj.

— Teraz idę do domu. O szóstej będę na zbiórce, a ty Tadek wyręcz mnie w urzędowaniu.

— Zgoda! Idź. a wracaj duchem!...

* * *

Deszcz walił jak z cebra, rozpaskudziło się niebo, jakby płakać zaczęło zawczasu nad Polskim grodem. Przez ulice Krakowa tysiące ludzi spiesząc przechodzi, wiadomość z ust do ust podają: „Wojna z Rosyą!“ Muzyki po mieście grają, za nimi tłumy ludzi, okrzyki co chwila wznoszą: „Niech żyje Austria! Precz z Rosyą!“ Szybko przebiegłem ulicami miasta, chcąc się jak najprędzej do Podgórza dostać, aby się nie spóźnić. a tu tyle jeszcze sprawunków na głowie. To buty trzeba kupić, to prowiantów trochę na drogę, to rozmaitych drobiazgów. Wreszcie uporałem się z tem, wpakowałem wszystko w plecak i punktualnie o szóstej przybiegłem do koszar.

Okrzyki przywitały mnie, pełne szczęścia i radości. W salach pełno żołnierzy, po korytarzach, przed lokalem pomimo rześnego deszczu.

Podzielono nas w plutony, ustawiliśmy się w balowej sali, jedni z turnistrami na plecach, niektórzy zawiniątka w ręce trzymali. Ot, bochenek chleba do białej chusty zawinał, kawałek kiełbasy, flaszkę wódki, trochę drobnych drobiazgów i tak na wojnę się wybierał. Jedni w słomkowych kapeluszach, drudzy w strzeleckich, kilku w kompletnych mundurach, poprzerabianych ze starych ubrań wojskowych. Ot tak, jakby kompania pielgrzymkowa patników na odpust do miejsca cudownego się wybierając, na drogę się szykowała. Tu mundur gimnazjalisty, tam zwóz bluza robotnicza się ukazała.

Ale oczy natomiast jednakowoż blaskiem jaśniały. A twarze jednakową radością przepełnione były. A serca jedną wiarą nasycone były.

— Za Polskę idziem w bój!...

— Baczość! — zakomenderował Szaleniec.

Cisza wielka, jakby zakłute wojsko tatrzańskie stało.

Odczytał rozkaz komendant, w kopertę włożył, na piersi wsunął. Wyręził głowę, po sali powiódł oczyma, na twarze nasze patrząc bystro.

— Obywatele! — przemówił donośnym głosem. — Jutro wymarsz. Kto nie chce, kto się boi, kto chorym czuje się i słabym, wystąpić z szeregu.

Nikt nie wystąpił.

— No, nuże! — krzyknął. — Niema takiego?!

— Niema, komendancie! — sto kilkanaście głosów mu odparło. — Niema!

— Dobrze chłopcy! To się chwali!

Palnął mównicę przy końcu, do wytrwania nas zachęcając, potem jeszcze raz odczytał rozkaz na piątek, aby punktualnie się wszyscy zjawili, upomniął.

Do późnej nocy trwały przygotowania. Rozebrano karabiny Werndla, wyczyszczono je starannie, wyostrzono stare, porzuciła bagnety.

Szabla, która długie lata służyła scenie amatorskiej, wyczyszczona, wyostrzona, odświeżona, błyszczała przy boku Kruka, który pobrzękał nią, co chwilę spoglądał na nią, jakby się widokiem jej pieścił. Stara to była szabla, pamiętała jeszcze ostatnie boje polskie, ale dobra i silna.

— Długi czas wojowała na scenie — roześmiał się Kruk, pokazując komendantowi — teraz i ona na wojenkę idzie. Nie będzie już więcej paradować na scenie, choć kto wie — dodał po chwili — jak wróce, to z powrotem pójdzie na pensję — do teatru, na scenę.

Tylko karabin Manlichera wisiał spokojnie na ścianie. Nikt go nie śmiał przymierzyć, gdyż to jeden jedyny nasz karabinek, za własne, wspólne pieniądze kupiony, więc musi w dobre ręce przejść. A niejeden ostrzył sobie apetyt na niego.

Przymilali się komendantowi, co chwila przypominając o tym karabinie, pytali się ciekawie, kto go nosić będzie.

— Już ja tam nie zapomnę o nim! — uśmiechnął się komendant, patrząc na karabin. — On już jest przeznaczony!

— A kto go dostanie? — pytali natarczywie.

— Jutro się dowiedzie!

— Pewnie Strzemię go dostanie! — mówili jedni. — Bo on najwyższy z nas!

— E, nie! — sprzeczała się drudzy. — Strzemię jest wysoki, to może Werndla nosić, a któryś z tych małych dostanie. Może Goldstein.

Zaświeciły się oczy Goldsteina, gdy posłyszał, że o nim mówią, spojrzał pytająco na komendanta, który się uśmiechnął do niego.

— Pewnie ja dostanę! — szeptał uradowany. — Pewnie ja dostanę Manlichera.

Humor bajeczny rozgościł się pomiędzy nami, dowcip swobodny, szczery.

— Ty, słuchajno — mówi jeden do drugiego — do Królestwa idziesz, a paszport masz?

— Pewnie, że mam! — mówiąc to podnosi karabin do góry.

— O patrz, jaki dokumentny paszport, żebym tylko Moskala na granicy spotkał, zaraz bym się wylegitymował.

— Gadaj! gadaj! Ale jak go zobaczysz, to się mu ładnie pokłonisz!

— Ba, nawet go poproszę, żeby mi towarzyszył, jak go do niewoli wezmę.

Wyczyszczone karabiny z nasadzonymi bagnętami błyszczały, jak gdyby co tylko z pod ręki rusznikarza wyszły.

— Trudno! — mówiliśmy — jakie są, takie brać!

— Ręczne armaty! — śmialiśmy się z naszych karabinów. — Niema to jak Manlicher.

Switało już, a nikt nie myślał o spoczynku, sen odbiegł zupełnie, czekali z upragnieniem na wschodzące słońce, bo dzień ów, to najpiękniejszy dzień — wymarszu z koszar — na miejsce przeznaczenia. Wlokły się godziny tak jakoś powoli, niecierpliwość budząc wśród oczekujących jak najprędzej chwili wymarszu.

* * *

Nareszcie! Godzina w pół do dziewiątej rano. Na dziedzińcu koszarowym okrzyki plutonowych, zbiórkę zwołujących. Ten i ów jeszcze tego zapominał w „Strzelcu“, biegnie więc pospiesznie, bo już zbiórka, już trzeba stać w szeregu.

Za ogrodzeniem podwórza grupka kobiet stanęła i żywo rozprawiając sprzecza się.

— Kiedy mówię wam kumo, te chłopaki na wojnę idą! — mówi pierwsza.

— Ale gdzie! A co by ta oni na wojnie zrobili. Takie same małe chłopaki. Pewnie ci mają jakąś wycieczkę, bo tu strzelcy mają stowarzyszenie. Pewnie na wycieczkę idą.

— Ale kiedy mówię wam, pani Antoniowo, że na wojnę idą, bo tam i mój syn jest.

— Ale nie.

— To wam zawołam mego syna, a będziecie widzieć.

Przytknęła twarz do krat ogrodzenia i donośnym głosem zawołała:

— Franek, Franek Kopek, chodźno tu!

Wołany stał w pierwszym szeregu, spostrzegł matkę, ale machał począł tylko ręką, że iść nie może, bo już w szeregu stoi.

— Ale chodźno! do matki cię puszczą!

Rozśmiał się Kruk wesoło, pozwolił Kopkowi do matki iść, pożegnać się.

— Co mama chce? — spytał.

— Kaj wy idziecie? Powiedzno krzesnej matce, bo nie chce wierzyć, że to na wojnę idziecie!

Franek ucałował ręce chrzestnej matce i przemówił radośnie:

— A ino, krzesno matko, na wojnę idziemy, na Moskola!

— Bójcie się Boga, kumciu! — jęknęła Antonio-wa. — I wy syna puszczacie na wojnę, aby go zabili. Jedynoka macie i pozwolicie?

— Ha! cóż mom robić! Nie pozwolę mu, to mi

i tak choroba z domu ucieknie, a tak, to już lepiej, jemu na sumieniu lżej i miut. Wola Boska!

Obtarła Antoniowa łzy i, ucałowawszy Franka w głowę, rzekła:

— Kiej na wojnę idziesz, to wróćże Franus zdrowy, a o matce i o mnie pamiętaj! Będiesz?

— Będę! — odrzekł wzruszony. — Ale już muszę iść, bo już apel niedługo będzie. — Ucałował ręce kobiet, pochylił się do kolan i stanął w szeregu.

Szybko przeprowadzono zbiórkę, plutonowi zdali raport komendantowi, sformowano na rozkaz komendanta kolumnę czwórkową.

Stojące przed bramą grupki ludzi rozstąpiły się w milczeniu, robiąc miejsce dla oddziału strzeleckiego.

Jeszcze raz głowy niektórych żołnierzy wróciły się w stronę koszar, gdzie tyle dni i chwil błogich przepędzili, smutnie i tęsknie patrząc na opustoszały gmach.

Niejednemu łza z oka wyjrzała, niejeden tęsknie westchnął:

— Czy wróce jeszcze w rodzinne strony?

— Czy zobaczę kiedy rodzinny dom?

Nagle wydarła się z piersi żołnierzy ulubiona pieśń strzelecka:

Poczekaj Moskale, ty pogańska duszo,
Maszeruj oddział strzelców, na proch cię rozkruszą!...

coraz silniej, coraz weselej, żegnała rodzinne strony.

A grupka ludzi, idąca za kompanią, rozprawiała w dalszym ciągu:

— Czy oni na wojnę idą?

— Ale gdzie! Na ćwiczenia!

— Ależ! Kiej mówię wam, że na wojnę, bo tam mój Franek jest.

Po drodze kwiatów kilka z okien otwartych upadło na przechodzących strzelców, na jasne ich głowy.

Kilka białych i czerwonych róż do stóp im upadło!...

Białe i czerwone róże!...

* * *

Przymaszerowaliśmy do Oleandrów. Na ogrodzonym boisku, poza parkiem wystawowym, kompanie strzeleckie stoją, szykują się do drogi.

Stanęliśmy pod parkanem, rozłożyliśmy się na wydeptanej trawie.

Cały dzień trwały uzupełnienia kompanij. Numerowano je i uzupełniano bataliony.

Dostaliśmy początkowo numer dziewiąty, później przemieniono nas na numer dziesiąty, trzeci batalion.

Pierwszą noc przepędziliśmy w budynku powystawowym, zbudzeni nocnym alarmem, który na szczęście okazał się fałszywym. Dopiero około godziny drugiej nad ranem, na odgłos trąbki zerwaliśmy się, ubierając się pospiesznie.

Przy drzwiach wchodowych teatru, zapalone pochodnie rzucały jasne snopy światła na kręcących się strzelców.

Tam, przy stoliku, przy płonących pochodniach, batalionowy Wyrwa odbierał rozkazy, odbierał dowództwo nad naszym batalionem.

Ojciec Kapucyn, kapelan, pojawił się i począł słuchać spowiedzi poszczególnych żołnierzy. Ale z powodu braku czasu, wysłuchać nie mógł wszystkich chcących się wyświadczyć; ukłękliśmy tylko, wyciągnął rękę, rozgrzeszył nas i połogosił.

Zaraz po piątej godzinie rano, w sobotę, dnia 8 sierpnia 1914 r., po odprawionem nabożeństwie na Błoniach krakowskich przy udziale nielicznej grupy „cywilnych“ uczestników, wymaszerowały oddziały strzeleckie. Wymaszerowały cicho, spokojnie, tylko jedyna pieśń nasza zabrzmiała jeszcze, żegnała stary nasz gród serce naszego kraju — Kraków.

Jeno tam tylko w niektórych kościołach dzwony zajęczały, jeno tam niektóre serca rozszarpane boleścią były.

— — — — —

I szły oddziały, z ufnością w przyszłość patrząc, pełne gorącej miłości ojczyzny, szły, aby krew swą położyć na ołtarzu ojczyzny, aby dać dowód, że „Nie zginęła i nie zginie!“

— — — — —

A na Wawelu zegar począł wydzwaniać godzinę! Lecz którą... nie pamiętam!...

